WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 65 6 CZERWCA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

POMOCNE RĘCE

LIMANOWA (HSI). Od kilku miesięcy w Limanowej aktywnie działa Harcerski Klub Pomocnych Rąk. Harcerze ze Szkoły Podstawowej nr 1 codziennie odwiedzają starszych i chorych mieszkańców Limanowej. Pomagają w zakupach, wiosennych porządkach i pracach w ogródkach, przynoszą gazety i czytają je. Wśród tych, którym pomagają druhny i druhowie, wiele osób to emerytowani nauczyciele, którzy niejednokrotnie uczyli jeszcze rodziców młodych pomocników. Stąd też szczególnie serdeczne są związki harcerzy i ich podopiecznych. Często przynoszą kwiaty, a w dniach szczególnie uroczystych, np. imienin, urodzin, w Dniu Kobiet, czy nauczyciela, składają najgorętsze życzenia. **(dak)**

Siódme manewry w siedmiu konkurencjach

SZCZECIN (HSI). W Szczecinie odbyły się VII Chorągwiane Manewry Techniczno-Obronne. Brali w nich udział reprezentanci szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Poszczególne zespoły walczyły w siedmiu konkurencjach: wielobroju sprawnościowo-obronnym, łączności radiowej, amatorskiej radiolokacji; pożarniczym, sanitarnym, samochodowym i motocyklowym torze przeszkód.

Po dwudniowych zmaganiach wyłoniono reprezentację Chorągwi na Okręgowe Manewry Techniczno-Obronne grupy Chorągwi Północnych w Bydgoszczy. W skład reprezentacji wejdą najlepsi z każdej z rozegranych konkurencji. W wielobroju sprawnościowo-obronnym w pionie szkół podstawowych jak i ponadpodstawowych najlepszym okazał się Hufiec Stargard Szczeciński. **(mi)**

SPOTKANIE Z SIOSTRĄ ANI MOROZOWEJ

SIERPC (HSI). W Zespole Szkół Zawodowych im. generała Jose de San Martin w Sierpcu odbyło się uroczyste spotkanie członków koła TPPR z siostrą bohaterki Związku Radzieckiego Ani Morozowej, Marią Cziwikową, która wraz z synem Saszą przyjechała do Sierpca na zaproszenie harcerskiego klubu, który za patronkę obrał sobie właśnie Anię Morozową. Była ona radiotelegrafistką i poległa bohaterską śmiercią żołnierza w Gradzanowie (gmina Siemiątkowo). W czasie spotkania harcerze i goście ze Związku Radzieckiego wspominali dzielną radiotelegrafistkę. Maria Cziwikowa opowiedziała o życiu Ani Morozowej.

(aug)

WAKACJE Z PIŁKĄ

1971 – „Generał" Krzyż Wielkopolski; 1972 – „Czarne Perły" Krosno; 1973 – „Sokoliki" Sokółka; 1974 – „Zbiczki" Nasielsk; 1975 – „Tęcza" Rytel; 1976 – FC „Sudety" Kłodzko; 1977 – „Sokoliki" Sokółka – oto dotychczasowi zwycięzcy krajowych finałów wakacyjnego turnieju piłkarskiego o puchar „Świata Młodych". Zgodnie z regulaminem imprezy wszystkie wymienione zespoły uczestniczyły też w rozgrywkach międzynarodowych z udziałem drużyn węgierskich i NRD.

14 czerwca rozpoczynamy VIII MWTP. Jak co roku, tak i teraz, o nasze trofeum ubiegać się może każda drużyna. Stawiamy tylko jeden warunek: zespoły muszą się składać z piłkarzy urodzonych w 1963 roku i młodszych. Szczegółowy regulamin turnieju oraz zasady jego rozgrywania zamieścimy w „Świecie Młodych" z dnia 10 czerwca (sobota). Nie przegapcie okazji. Każdy z Was może awansować do krajowego, a następnie do międzynarodowego finału! **(zp)**

Fot. **K. Adamowski**

Lubelscy harcerze krótkofalowcy

LUBLIN (HSI). Piętnaście już lat działa w Lublinie harcerski klub łączności „Elektron" przy Komendzie Chorągwi im. PKWN. W czasie codziennych zajęć harcerze, a także młodzież niezrzeszona w ZHP, poznają alfabet Morse'a, nowoczesne urządzenia nadawczo-odbiorcze i pomiarowe. Działają tu m.in. sekcja radiowa, amatorskiej radiolokacji i szybkiej telegrafii. Młodzież pracująca w klubie utrzymuje łączność radiową z krótkofalowcami całego świata.

Klub posiada również pracownię wyposażoną w odpowiednią aparaturę, która służy członkom klubu do samodzielnej konstrukcji urządzeń nadawczo-odbiorczych. W czasie wakacji organizowane są dla młodzieży obozy szkoleniowo-wypoczynkowe, których uczestnicy zapoznają się z tajnikami łączności radiowej, a także urządzeń elektrycznych niezbędnych w codziennym życiu. Każde takie szkolenie prowadzone przez klub zakończone jest egzaminem i wręczeniem odpowiednich uprawnień. **(mi)**

Plebiscyt Zastępowych „NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH" rozstrzygnięty!

ZŁOTY MEDAL DLA WIESI!

Plebiscyt Zastępowych „Najlepsi z Najlepszych" dobiegł końca. W głosowaniu wzięło udział aż 3225 osób, przyznając w sumie najlepszej dziesiątce 9675 punktów. Najwięcej, bo aż 3064, otrzymała **WIESIA MARTYNIUK** ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Żarach. Jest ona uczennicą klasy VI[a], zastępową zastępu „Śmiali" w Drużynie im. Dzieci Warszawy. Na zdjęciu: złota laureatka. Gratulujemy zwycięstwa!

Na stronie 3 znajdziecie listę srebrnych i brązowych medalistów.

Fot. **M. Żbikowski**

O tym trzeba mówić

APEL SPOŁECZNEGO KOMITETU PRZECIWALKOHOLOWEGO

Efekty nadmiernego picia alkoholu dostrzec można w naszym kraju prawie o każdej godzinie: w mieście, na wsi, na szosach i polnych drogach, w tramwajach, autobusach i parkach. Zjawisko jest masowe, powoduje coraz większe szkody w gospodarce kraju. Bo to nieprawda, gdy pijak mówi: „piję za swoje". Nietrzeźwi kierowcy są karani, lecz chociażby pracownicy tzw. pionu budowlanego już tylko usprawiedliwiają się z niedbale wykończonych mieszkań, zwalając winę na jakość materiału lub... pośpiech. Materiał zły, bo go spartaczył producent, pośpiech był konieczny, gdyż i jedni i drudzy być może strwonili czas na zakrapiane „śniadania". Tak zwane pół litra, wino, piwo, można kupić szybciej niż mleko, niż świeże pieczywo. Tolerancja, nie oburzenie towarzyszą tym, którzy wychylają podczas pracy „setę". Tymczasem społeczne straty, jakie wynikają z dobrodusznego traktowania ludzi nadużywających alkoholu są zbyt wysokie, aby o problemie mówić żartem.

Ze światowych statystyk wynika, że w przeliczeniu na jednego mieszkańca (a więc brane są pod uwagę niemowlęta i starcy) w spożyciu napojów alkoholowych zajmujemy miejsce w drugiej dziesiątce krajów. W porównaniu z innymi nacjami, które piją przede wszystkim piwo, lub wino, w 1977 roku w Polsce ponad 70 procent stanowiła wódka! Wypijana na wycieczce, z radości, ze zmartwienia, a także jakoby „dla zdrowia". Skutki pijaństwa stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa i trwałości rodziny (wiedzą coś o tym i nasi czytelnicy) uniemożliwiają wykonywanie funkcji wychowawczych, demoralizująco wpływają na dzieci. Alkohol sprzyja przestępczości, jest jednym z poważnych źródeł naruszania norm prawnych. W ostatnim okresie na wykorzystanie wszystkich dostępnych środków, zmierzających do zapobiegania nadmiernemu spożywaniu alkoholu, kilkakrotnie zwracało uwagę kierownictwo naszej partii. Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy ogłosił apel, czytamy w nim m.in.:

...„Wszystkie racje państwowe, narodowe i obywatelskie przemawiają za tym, by przeciwdziałanie przyczynom i skutkom pijaństwa i alkoholizmu traktować jako społeczny nakaz obywatelski (...) Niech nie uspokaja nas fakt, że zjawisko pijaństwa i alkoholizmu występuje także w innych krajach. Najbliższa jest ojczyzna nasza – Polska Ludowa – i uczynić powinniśmy wszystko, by wyzwolić wszelkie rezerwy moralne i materialne dla dalszego jej – jeszcze szybszego i wszechstronnego rozwoju. (...)

Dzieciom potrzebny jest dom, w którym nikt się nie upija. Socjalistycznej gospodarce – niezbędni są trzeźwi pracownicy." (ag)

JEDEN Z CUDÓW ŚWIATA

„Powziąłem zamysł udania się na wyspy Malediwy, które znałem jeno z opowiadań. W dziesięć dni po wyjeździe z Kalkuty dotarliśmy do tych wysp. Wyspy Malediwskie są jednym z cudów świata. Jest ich około dwóch tysięcy, z czego sto lub mniej skupionych jest kolisto na kształt pierścienia, a wejście do nich przypomina wrota. Jest to wszakże jedyne wejście, przez które może przepłynąć statek do owego pierścienia. Gdy do jednej z wysp przybywa okręt, musi nająć koniecznie pilota spośród miejscowej ludności i dopiero przy jego pomocy wchodzi do atolu. Wyspy są położone tak blisko siebie, że korony palm widoczne są przy przejeździe z jednej wyspy na drugą. Jeśli statek zmyli kierunek, podówczas nie jest w stanie już wejść do pierścienia i wiatr znosi go do Malabaru lub na Cejlon".

Ibn Battuta – podróżnik arabski (1304–1369 r.)

Na pytanie, które państwo azjatyckie jest najmniej znane w Europie, można śmiało odpowiedzieć – Republika Malediwska. Ten archipelag zbudowany przez małe morskie żyjątka – korale, rozciąga się na długości 750 kilometrów u południowego krańca Półwyspu Indyjskiego. Najbliższym sąsiadem Malediwów jest leżąca w odległości 650 kilometrów na wschód, wyspa Sri Lanka (Cejlon). Z lotu ptaka Malediwy wyglądają jak zielone szlachetne kamienie oprawione w wąskie paski białych plaż i dalej bariery raf koralowych. Ten szmaragdowy diadem, otoczony jest błękitem wód Oceanu Indyjskiego.

Ze 130 tysięcy obywateli tego wyspiarskiego kraju, niecałe 20 tysięcy żyje na maleńkiej wyspie Male – stolicy państwa. Powierzchnia tej wyspy – stolicy nie przekracza 2 kilometrów kwadratowych. Pozostała ludność zamieszkuje 220 wysp, reszta jest bezludna. Wszystkie kontakty ze światem prowadzą przez stolicę Male i znajdujące się na sąsiedniej wyspie Hulupe stołeczne lotnisko. Tam właśnie regularnie lądują samoloty pasażerskie ze Sri Lanki i Południowych Indii. Male jest typowym miastem Południowej Azji. Większość jego parterowych budynków zbudowana jest z oślepiająco białych, wytrawionych słońcem brył koralowca. Biedniejsze rodziny mieszkają w „kadżanach" – szałasach zbudowanych z palmowych gałęzi. Jak we wszystkich muzułmańskich miastach, domy zwrócone są fasadami do wewnątrz, a na ulicę wychodzą gładkie, bez okien i drzwi, ściany. Male tym się tylko różni od arabskich miast, że jego ulice są bardzo czyste i wysypane ubitym koralowym piaskiem. W pobliżu portu, charakter miasta nieco się zmienia. Stoją tu jednopiętrowe domy, a nad każdym z nich powiewa flaga państwowa. Na umocowanych przy drzwiach tablicach widnieją napisy informujące o tym, jakie ministerstwo w danym budynku się mieści.

W porównaniu z innymi archipelagami centralnej części Oceanu Indyjskiego, Malediwy mają najciekawszą historię. Drawidzi – uchodźcy z Południowych Indii, pojawili się na tych wyspach już około 2,5 tysiąca lat temu. Od tej pory, tak pod względem kulturowym jak i polityczno-gospodarczym, mieszkańcy Malediwów zawsze utrzymywali bliskie kontakty z krajami Azji Południowej. Inne grupy wysp, jak np. niezbyt odległe Seszele ciążyły raczej ku Wschodniej Afryce. Na pierwsze wieki naszej ery, datuje się początek migracji na Malediwy Syngalezów – mieszkańców Sri Lanki. Oni to właśnie przynieśli ze sobą buddyzm, język, a także wiele obyczajów i przedmiotów codziennego użytku. Arabscy żeglarze, władający na Oceanie Indyjskim niepodzielnie aż do pojawienia się tam Portugalczyków, jeszcze w odległych średniowiecznych czasach nawiązali stosunki handlowe z mieszkańcami archipelagu. Wielu arabskich kupców osiedliło się na Malediwach. Przywieźli ze sobą afrykańskich czarnych niewolników, którzy następnie wymieszali się z miejscową ludnością. W 1153 roku przybyły aż z Maroka Abu al – Barakat, nawrócił króla Malediwów na islam. Ten, przyjmując arabskie imię Muhammed ul-Adil, ogłosił się sułtanem.

Obecni mieszkańcy Malediwów posługują się językiem *„diwehi"*, zwanym jednak popularnie zwłaszcza w Europie – malediwskim, pochodzącym od syngalezkich przodków. Pismo natomiast jest pochodzenia arabskiego, a islam religią państwową. Wpływy europejskie, praktycznie nie pozostawiły po sobie żadnych śladów. Portugalczycy podbili Male w 1558 r,. prowadząc tu politykę ognia i miecza, co spowodowało natychmiastowy bunt ludności i jak byśmy to dziś określili – walkę partyzancką. W 1573 r. narodowy bohater Malediwów Muhammed Takurufanu na czele oddziału powstańców, pobił na głowę portugalskich najeźdźców i oswobodził Male. Kraj był niepodległy aż do 1877 r., kiedy to podporządkowali go sobie Anglicy, tworząc tu protektorat. Zgodnie z wymuszonym porozumieniem. Anglia wzięła na siebie odpowiedzialność za prowadzenie polityki zagranicznej; w sprawach wewnętrznych pozostawiono teoretycznie władzę sułtanowi. Trzeba też jednak stwierdzić, że wyspy te, posiadające niewiele poza przepięknym krajobrazem, niezbyt W. Brytanię – panującą na całym subkontynencie indyjskim – interesowały. Ale stosunek Anglików do Malediwów uległ gwałtownej zmianie po roku 1947, gdy Indie wywalczyły sobie niepodległość. A już specjalną uwagą obdarzono, leżącą na południu w atolu, Addu, wyspę Gan. W. Brytania doceniając strategiczne położenie tego miejsca, dającego możność kontrolowania ogromnych obszarów Oceanu Indyjskiego, założyła tam potężną bazę wojskową. Władzę malediwskie stanowczo sprzeciwiały się budowie bazy, ale W. Brytania zupełnie się tym nie przejęła. W wyniku długiej walki politycznej i zbrojnej, malediwski ruch wyzwoleńczy wreszcie osiągnął swój cel i w 1965 r. powstało niepodległe państwo. Jednak dopiero w marcu 1976 r. opuszczona została flaga brytyjska na wyspie Gan. W 1968 r. w wyniku ogólnonarodowego referendum, przestał po 815 latach istnieć sułtanat, a Malediwy stały się republiką.

Podstawą gospodarki kraju jest rybołówstwo, ono daje 90 proc. dochodu narodowego. Połowem ryb zajmuje się 46 proc. dorosłych mężczyzn, a dla 80 proc. ludności podstawą istnienia są właśnie ryby. Połowy odbywają się przy pomocy bardzo prymitywnego sprzętu, na małych żaglowych łodziach, zwanych tu *„doni"*. Jeszcze niedawno sprzedawano wszystkie złowione ryby do Sri Lanki, obecnie do wybrzeży Malediwów podpływają japońskie statki – przetwórnie, które skupują ryby od rybaków, wprost z łodzi. Buduje się też wspólnie z Indiami, pierwszą przetwórnię ryb. Płody rolne, jak owoce cytrusowe, orzechy kokosowe, kopra – dawniej eksportowane, obecnie zużywane są całkowicie w kraju. Znacznie rozwinęła się flota statków żeglugi przybrzeżnej, jedynego środka komunikacji i transportu między wyspami. Port Male ogłoszono, dla zachęty zagranicznych firm handlowych i turystów, portem wolnocłowym. Dla ochrony interesów własnego rybołówstwa, rząd Malediwów podjął ostatnio decyzję o rozszerzeniu pasa wód terytorialnych do 200 mil. Tak więc obecnie „areał" posiadanych przez Malediwy wód Oceanu Indyjskiego osiągnął 500 tysięcy kilometrów kwadratowych, zaś całe terytorium kraju ma zaledwie 294 kilometry kwadratowe.

Rozmieszczenie ludności na 220 wyspach utrudnia bardzo kierowanie państwem. I tak np. szkoły państwowe znajdują się tylko w Male, na pozostałym terytorium funkcjonują jedynie szkoły religijne – *„madresy"*. W Male znajduje się jedyny szpital i elektrownia. Coraz większe nadzieje łączy się z rozwojem turystyki, licząc na to, że wpływy z wizyt zagranicznych turystów znacznie wzmocnią finanse państwa. I rzeczywiście z roku na rok liczba turystów rośnie, a do Male zawija coraz więcej pasażerskich statków. Co znów zaczyna budzić obawy, że ten potok cudzoziemców może wywrzeć zły wpływ na obyczaje, moralność i w ogóle tradycje ludu Malediwów. Na pewno jednak ten drugi najazd białych ludzi, nie będzie tak groźny jak wszystkie poprzednie.

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. **archiwum**

POLACY W „SKARBNICY WIELKICH PIĘCIU ŚNIEGÓW"

Ostatnia wiadomość przyszła z drugiego obozu, który założyli 27 kwietnia na wysokości 7200 m npm. Po miesiącu dopiero nepalskie Ministerstwo Turystyki zakomunikowało, że „dwóch polskich alpinistów, Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż, 19 maja osiągnęło najwyższy na świecie, spośród nie zdobytych jeszcze szczytów – południowy wierzchołek Kangczendzengi (8490 m npm) w Himalajach". Obaj alpiniści są członkami 27-osobowej ekspedycji polskiej „Polish Himalaya Expedition – Kangchenjunga South", kierowanej przez Piotra Młoteckiego. W związku z tym wyczynem poprosiliśmy o wypowiedź dr Andrzeja Paczkowskiego – przewodniczącego Polskiego Związku Alpinizmu.

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć cokolwiek o samym zdobywaniu szczytu. Dowiedziałem się o tym z suchego komunikatu prasowego. Jest to jednak wspaniałe osiągnięcie polskiego alpinizmu. Gienek i Wojtek ustanowili rekord wysokości krajów socjalistycznych, potwierdzając tym samym swą doskonałą klasę i świetną formę. Uważam, że para Wróż-Chrobak należy obecnie do najlepszych zespołów wspinaczkowych na świecie. To oni przecież osiągnęli niedawno najwyższy punkt 8400 m npm na nie zdobytym dotąd przez nas K2.

Obok wejścia Austriaków na Mount Everest bez tlenu jest to wyczyn bez precedensu w skali światowej. Kangczendzenga jest bardzo trudna do zdobycia, trudności ścian skalnych potęguje zazwyczaj fatalna pogoda. Nie na próżno w języku krajowców „kangczendzenga" znaczy „skarbnica wielkich pięciu śniegów". Na domiar złego ten sezon w Himalajach uważany jest ze względów pogodowych za szczególnie niesprzyjający wszelkim wyprawom. Przed nami wycofali się z sąsiedniego Makalu Amerykanie. Dodatkowe kłopoty sprawiali tragarze, którzy kilkakrotnie groźbą strajku wymuszali większe opłaty. Piotrek Młotecki zastosował doskonałą taktykę – od zasadniczej grupy oderwała się kilkuosobowa ekipa atakująca, która działała bez założenia bazy i znacznie wyprzedziła pozostałych.

Sukces naszej wyprawy jest tym większy, że obecnie wśród alpinistów panuje tendencja omijania szczytów jeszcze nie zdobytych, m.in. ze względu na olbrzymie trudności wspinaczkowe. Przykładem może być decyzja Austriackiego Klubu Wysokogórskiego, który od kilku lat organizuje wyprawy tylko na znane już trasy. Możemy więc już teraz, niezależnie od następnych wyników, powiedzieć, że wyprawa Polskiego Klubu Górskiego zakończyła się pełnym powodzeniem. Trzeba jednak dodać, że Chrobak i Wróż biorą w niej udział niejako gościnnie. Obaj są członkami klubów wysokogórskich, pierwszy – krakowskiego, drugi – poznańskiego.

W skład ekipy, oprócz alpinistów, wchodzą także m.in. Szymon Wdowiak z TV Warszawa, Andrzej Strumiłło – malarz i grafik oraz Zbigniew Staszyszyn – fotograf CAF. Sądzę, że po powrocie do kraju będziemy rozporządzać olbrzymim materiałem dokumentacyjnym, który po opracowaniu zostanie zaprezentowany wszystkim, którzy interesują się trudną sztuką wysokogórskiej wspinaczki.

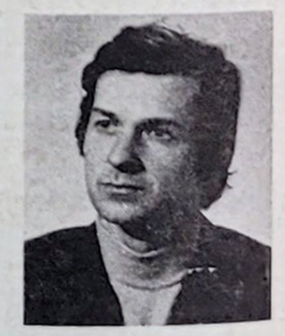

ZDOBYWCY KANGCZENDZENGI: Z LEWEJ WOJCIECH WRÓŻ, Z PRAWEJ EUGENIUSZ CHROBAK

KAZIMIERZ ROBAK

Tegoroczny PLEBISCYT ZASTĘPOWYCH zakończony!

Laureaci spotkają się w Warszawie!

NASI MEDALIŚCI

Wiesia Martyniuk

Ewa Tokarz

Lidia Zdunek

Władka Kaczmarczyk

Szymek Schab

Robert Czernicki

Wojtek Kondracki

Rafał Dybowski

Joasia Pawluś

Adam Mazur

Najlepszą zastępową, WIESIĘ już znacie. Kim są pozostali zwycięzcy naszego plebiscytu? Poniżej przedstawiamy srebrnych i brązowych medalistów.

Medaliści srebrni

EWA TOKARZ – uczennica klasy VII Szkoły Podstawowej w Grabicach, zastępowa „Olimpijczyków" w 58 DH im. K. Świerczewskiego, zebrała ona 2 123 głosów.

LIDIA ZDUNEK – uczennica klasy VIII Szkoły Podstawowej w Rusku, zastępowa „Polek" z Drużyny „Europejek", otrzymała głosów 1542.

Medaliści brązowi

WŁADKA KACZMARCZYK – uczennica klasy VII Szkoły Podstawowej w Rabie Niżnej, zastępowa „Pingwinów" z 13 DH im. L. Węgrzynowicza (głosów 580).

SZYMEK SCHAB – uczeń klasy VI[b] Szkoły Podstawowej nr 8 w Kędzierzynie-Koźlu, zastępowy „Kocyndrów" z 39 DH im. Powstańców Śląskich (głosów 523).

ROBERT CZERNICKI – uczeń klasy VIII[b] Szkoły Podstawowej nr 10 w Legnicy, zastępowy „Biało-czerwonych" z 73 DH im. gen. K. Świerczewskiego (głosów 483).

WOJTEK KONDRACKI – uczeń VIII klasy Zbiorczej Szkoły Gminnej w Turośni Kościelnej, zastępowy „Chabrów" w Drużynie nr 1 im. Stanisława Staszica (głosów 399).

RAFAŁ DYBOWSKI – uczeń klasy VIII[b] Zbiorczej Szkoły Gminnej w Żaganiu, zastępowy „Mastodontów" w 56 DH im. Karola Darwina (głosów 343).

JOASIA PAWLUŚ – uczennica klasy VIII ze Szkoły Podstawowej nr 107 w Krakowie, zastępowa „Pelikanów" w 91/1 DH „Wietrzne Mgławice" (głosów 325).

ADAM MAZUR – uczeń VII klasy Szkoły Podstawowej w Rakołupach Dużych, zastępowy „Pancernych" ze 139 DH im. T. Kościuszki (głosów 293).

W lipcu dziesiątka laureatów pojedzie na miesięczny Międzynarodowy Obóz Pionierski do Niemieckiej Republiki Demokratycznej – jest to nagroda ufundowana przez Główną Kwaterę ZHP.

W kolejnym numerze wydrukujemy wypowiedzi uczestników II etapu plebiscytu. Dowiecie się dlaczego głosowali na tego, a nie innego zastępowego, co im się w nich najbardziej spodobało. W tym samym numerze wydrukujemy listę tych spośród uczestników I i II etapu, którzy wylosowali znaczki „Świata Młodych".

Po XXXI Wyścigu Pokoju

PROSTOWANIE KÓŁ

Długo rozdzielano nominacje do drużyny na tegoroczny Wyścig Pokoju. Po wielomiesięcznych przygotowaniach, po wielu krajowych i zagranicznych sprawdzianach, po różnych oględzinach, testach i badaniach, wyłoniono szóstkę biało-czerwonych. Najlepszych z najlepszych, mieszankę rutyny i młodości, zespół ciekawy pod kilkoma względami. Wszystko wskazywało na to, że w XXXI WP zapoczątkowany zostanie nowy rozdział historii naszego kolarstwa. Ale historia ma to do siebie, że lubi fakty...

Nie będziemy przypominali przebiegu poszczególnych etapów wyścigu. Nasi czytelnicy – miłośnicy kolarstwa znają je doskonale. Warto jednak zastanowić się nad bardziej złożonymi rządzącymi w peletonie prawami, nad misternie układaną lub przypadkowo wynikłą na trasie scenerią, którą fachowcy nazywają „rowerowym cyrkiem" i od której tak wiele zależy.

Losy naszych zawodników zostały przesądzone właściwie już na terenie NRD. Tam przegraliśmy prawie wszystko. Kropkę nad „i" oraz ostatnie nadzieje rozwiał etap między Gerą i Karlovymi Varami. Pamiętam ten odcinek jazdy jeszcze z XXV WP. Wtedy również doznaliśmy tam klęski. A przecież mieliśmy drużynę właściwie bez słabych punktów. Złośliwość losu? Prawo serii? Zgoda. Ale to nie tłumaczy ponownych strat, pechowych kraks Langa i Szozdy; zanim przesiedli się oni z rowerów do karetek pogotowia już wcześniej pogrzebali swoje szanse na zdobycie czołowych lokat...

Długo znam Stanisława Szozdę, wiem, że niełatwo kapituluje, że i teraz dał z siebie maksimum wysiłku. Przegrał. On sam nie dzieli z tego powodu włosa. Zastanawiający jest jednak brak zmysłu taktycznego u naszego zespołu. Polacy, szczególnie w pierwszej i środkowej fazie wyścigu, pojechali jak nowicjusze. Wiadomo, że przed każdym etapem trenerzy i zawodnicy układają plan walki, przydzielają zadania każdemu z członków drużyny. Rzecz jasna, że nawet najpotężniejsze głowy nie są w stanie przewidzieć wszystkich wydarzeń, w zależności od nich ułożyć scenariusz batalii. Korekt dokonuje się już na trasie. A tymczasem wydawało się, że nasi nie kontrolują poczynań rywali, że czują ogromny respekt wobec kręcących obok przeciwników, szczególnie wobec reprezentantów ZSRR. Najlepszy „góral" tegorocznego WP, Krzysztof Sujka, właśnie na mocno pofałdowanym terenie, na trasie z Pragi i Liberca, pozwala uciec radzieckiej parze Awierin – Zacharow i paru jeszcze innym zawodnikom. Przecież ten sam kolarz w rywalizacji na górskich premiach odrywał się od peletonu wprost z dziecinną łatwością. Zaskakujący fakt nie tylko dla przeciętnego kibica.

Stare kolarskie powiedzenie mówi, że wywrotki omijają silnych. Tylu kraks, co w tym wyścigu, Polacy nie odnotowali jeszcze nigdy. A przecież, wbrew temu, co się powszechnie słyszy, nie byli słabi. Na końcowych odcinkach WP udowodnili też bojowość, w wielkim stylu zdobywali lotne premie. Nie potrafili jednak uniknąć tego najgorszego – upadków. Dlaczego? Jechali przecież na doskonałych gumach, ponoć bardziej bezpiecznych na śliskiej kostce od tych, w które byli wyposażeni kolarze radzieccy. A jednak podopiecznych trenera Wiktora Kapitonowa omijały „kontakty" z nawierzchnią. Chyba tylko dlatego, że właśnie w momentach pokonywania mokrej od deszczu bazaltowej kostki znajdowali się w szpicy, a nie w środku czy na końcu licznego peletonu. To także należy zaliczyć do potrzebnych kolarzowi umiejętności. Pocieszać się można tylko faktem, że nasi kończący wyścig zawodnicy są jeszcze młodzi, że dopiero teraz wjechali na prawdziwe kolarskie szlaki. Nauczka dana im na WP nie pójdzie chyba w las.

Nie tak dawne to czasy, kiedy z pewnym lekceważeniem spoglądano na taktyczną jazdę kolarzy Kraju Rad. Szczególnie tę liczoną do klasyfikacji indywidualnej. Dziś nasi byli uczniowie stali się profesorami. Właściwie potrafią wszystko. Ich umiejętności uwidocznią się – tak twierdzą fachowcy – również w tegorocznych mistrzostwach świata (Monachium, sierpień). Ale wracając do oceny XXXI WP trener Kapitonow trafił w przysłowiową dziesiątkę. Kto by pomyślał, że niemal w ostatniej chwili przed imprezą zrezygnuje z doskonałego Osokina. Jego dubler, Awierin, wylicytował i wygrał kolarskiego szlema. Zadziwiła też forma pozostałych reprezentantów ZSRR. Każdy z nich, w każdej chwili, wypełniał polecenia Kapitonowa w stu procentach, bez zbędnego „prostowania kół" (czytaj: bez zbędnych kalkulacji) potrafił finiszować po ostateczne zwycięstwo.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Fot. **J. Łopuszyński**

REDAKCYJNA POCZTA

Skutki rozłąki

Podobnie jak Alwisja jestem jedynaczką i z tego powodu czuję się osamotniona. Też wychowałam się u babci i dziadka – bez rodziców. Moi rodzice są zagranicą, mieszkają tam na stałe. Bardzo chcą mnie do siebie zabrać. Po latach rozłąki z rodzicami nie jestem w stanie przyzwyczaić się do nich. Widuję ich podczas każdych wakacji. Robią co mogą, ale to nic nie daje. Ja jestem strasznie przywiązana do dziadka i babci i nie wyobrażam sobie dalszego życia bez nich.

„Dag"

Miałam te same kłopoty

Przeczytałam list „Biety" z nr 55 „ŚM" i stwierdziłam, że ja przeżywałam to samo. Byłam i jestem bardzo dobrą uczennicą. Należę do samorządu szkolnego i klasowego, a przy tym jestem gospodynią klasy. Również jak ty, „Bieto", lubię dużo mówić i często się śmiać. Względy u nauczycieli mam od najmłodszych lat, gdyż zawsze byłam systematyczna i obowiązkowa. Oczywiście to wszystko klasie się nie podobało. Przezywano mnie w różny sposób, choć zawsze dla nich byłam dobra. Wiele razy zadawałam sobie to samo pytanie co ty i nigdy nie znalazłam na nie właściwej odpowiedzi. Jestem już w ósmej klasie i teraz jest inaczej. Nie wiem co się stało, ale przypuszczam, że chyba zrozumieli, że ich sądy były błędne. Są dla mnie mili i ufają mi. Wiem, „Bieto", że czekanie na sprawiedliwą ocenę kolegów i koleżanek jest strasznie męczące, ale wytrzymaj.

Mariola z Olsztyna

Jesteśmy harcerzami Komendy Chorągwi Elbląskiej im. Aleksandra Zawadzkiego. Chętnie nawiążemy kontakt ze szczepami, drużynami i zastępami, które noszą imię tego bohatera. Prosimy o adresy. Czuwaj!

Drużyna Harcerska im. gen. K. Świerczewskiego
Szkoła Podstawowa
82-431 Dąbrówka Malborska

Moniko, odezwij się!

Czytam listy zamieszczane w „Redakcyjnej Poczcie". Uważam, że czytelnicy za mało piszą o problemach rodzinnych. Dlatego ja postanowiłam napisać na ten temat. Mieszkam ze starszą siostrą i babcią. Mamy duże mieszkanie, ładnie urządzone, lecz najczęściej nie chcę przebywać w nim ani przez sekundę. Na pewno chcecie wiedzieć dlaczego? Bo siostra z babcią bezustannie siedzą mi na karku. Codziennie głoszą kilkugodzinne kazania. Słyszę wtedy, że lubię chłopców, że widziały jak na ulicy chłopak uśmiechał się do mnie, że jestem niezdara, bo ciągle tłukę szklanki. Mają wobec mnie jeszcze wiele innych przykrych zarzutów, ale nie o wszystkich mogę pisać. Wydrukujcie mój list, może babcia i siostra zrozumieją, że mnie krzywdzą?

Monika

OD REDAKCJI: Moniko, bardzo zmartwiła nas i zaniepokoiła druga część listu, której nie drukujemy ze względu na bardzo osobistą treść. Nie możemy Ci też odpisać, bo nie podałaś adresu. Bardzo prosimy, napisz do nas szybko i podaj adres bo chcemy Ci pomóc. Na razie – głowa do góry, jesteśmy z Tobą. (dś)

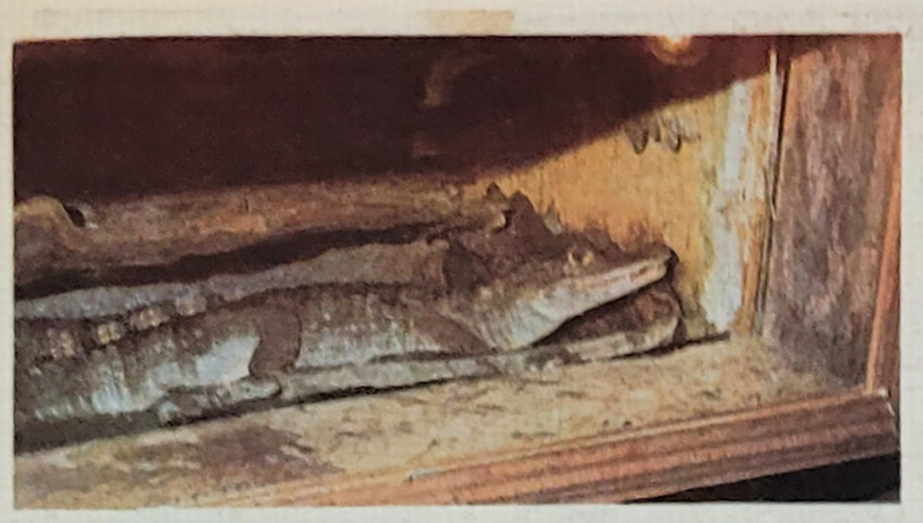

„KROKODYLA DAJ MI, LUBY"

Niektórzy mieszkańcy Świniarska opowiadają, jakoby cała historia rozpoczęła się jeszcze przed dniem zaręczyn. Podobno gdy pan Kazimierz poprosił panią Janinę, aby została jego żoną usłyszał to samo, co we Fredrowskiej „Zemście": „Krokodyla daj mi luby..." No i spełniło się.

– Ale jak naprawdę to zaczęło się zupełnie inaczej, a przede wszystkim o wiele wcześniej – mówi z uśmiechem Kazimierz Ruchała. – Już jako kilkuletni urwis interesowałem się wszystkim, co wokół mnie żyło. Złośliwi twierdzą, że to w myśl zasady „chłop żywemu nie przepuści". Lecz dla mnie to była prawdziwa pasja. Podczas długich wędrówek po okolicy uważnie podpatrywałem życie beskidzkiej fauny, odsuwałem kamienie i głazy, żeby zobaczyć, kto pod nimi mieszka i jak urządził swój dom. Dziwili się rówieśnicy i starsi, że interesowałem się tym „paskudztwem". Owszem, każdy miał własne hobby (choć wtedy je zupełnie inaczej nazywano); jedni lubili dłubać w drewnie, inni majsterkować; byli i tacy, którzy zbierali najprzeróżniejsze rzeczy, ale żeby jaszczurki i węże?

Dziś we wsi i całej gminie przyzwyczajono się już do mojego „ogrodu zoologicznego", niektórzy go polubili, ale najwięcej jest tych, co się chwalą (bo była w szkole telewizja, i radio, i z gazety). Są jeszcze tacy, którzy uważają mnie za dziwaka, który zamiast kupić samochód, wydaje pieniądze na te „wstrętne gadziska".

Prawdziwych sojuszników mam wśród moich uczniów. Dla nich „Wojtek", „Kaśka", „Maciek" i inni stali się sympatycznymi współtowarzyszami, którym niejednokrotnie przynosi się śniadanie.

Pracownia biologiczna w szkole podstawowej w Świniarsku, w woj. nowosądeckim, z pozoru nie różni się niczym od podobnych w innych szkołach. W przeszklonych gablotach stoją preparaty, wypchane ptaki, w akwariach pływają rybki, na ścianach wiszą poglądowe tablice...

– „Wojtek" lubi ciszę i spokój – Kazimierz Ruchała delikatnie ujmuje kilkumetrowe cielsko węża boa, który dotąd nieruchomo zwisał z rozłożystego konara w szklanym terrarium obok tablicy. Jeszcze jest boa tęczowy oraz najpopularniejsze: „Maciek" i „Kaśka" – dwa siedmioletnie kajmany okularowe czyli po prostu... krokodyle. Żywe, najprawdziwsze z prawdziwych.

To jeszcze nie wszystko – są długie, wąskie i śliskie połozy amurskie, kilkucentymetrowe „bzykające" karaluchy – karaczany z Mozambiku, australijski żabojad, gekony z Wysp Karaibskich, kilka żółwi i jaszczurek. I ryby bez oczu – ślepce jaskiniowe żyjące w głębokich wodach jaskiń meksykańskich. Kiedyś w akwarium pływały piranie, ale woda była chyba zbyt zimna i teraz można je oglądać za szybą jako preparaty.

Tyle w szkole. Reszta w domu – żmije nosorogie, przywieziona z Bieszczad żmija zygzakowata, młody boa dusiciel, boa nadrzewny (najcenniejszy okaz), parę jaszczurek i jedyny ptak, myszołów Ole (ani Ola, ani Olek, tylko właśnie Ole – może z hiszpańskiego?).

– W domu żyjemy z nimi jak w jednej rodzinie – po tym stwierdzeniu gospodyni ma trochę niewyraźną minę. Beata, ośmioletnia córka, wiele czasu poświęca na zabawy i „rozmówki" z „Wojtkiem" i innymi. Podobnie dziewięcioletni Darek i Tomek, którzy teraz uczą się w I klasie. Tylko dziadek patrzy krzywym okiem na te wydziwiania. W domu, owszem, można trzymać kury, psa czy kota, nawet to wszystko razem, ale węże? Świat się kończy! To pewnie wszystko przez te sputniki...

– Ten cały mój zwierzyniec to efekt dziesięciu lat zbieractwa, które rozpocząłem od traszki beskidzkiej. Część okazów kupiłem w krajowych sklepach zoologicznych, część przyniosłem z wycieczek i pieszych wędrówek, większość jest z zagranicy.

– One lubią pieszczoty, jak każde żywe stworzenie. I nie są wcale groźne, nie trzeba tylko wykonywać energicznych ruchów, bo to odbierane jest jako potencjalne zagrożenie, które rzecz jasna budzi niepokój i uruchamia instynkt samoobrony.

W domu pan Ruchała często kładzie je na kolanach, a ulubionym miejscem małego boa – „Darka" (tak nazwał go starszy syn – są imiennikami) jest... rękaw marynarki; tam jest przytulnie i ciepło, zaś w czasie świąt „Darek" układa się z lubością wokół choinki, przy barwnych, grzejących lampkach.

Najważniejsze jest odpowiednie pożywienie i staranna pielęgnacja. To przysparza wielu kłopotów. Każdy ma swój przysmak „Maciek" lubi bażanty, a „Wojtek" – wróble. Nie zawsze można dogodzić ich podniebieniu i chcąc nie chcąc muszą zadowolić się czymś innym. Nie mogą się przegrzać, ani przeziębić, w terrariach musi być czysto. W tych pracach obok całej rodziny chętnie uczestniczą dziewczęta i chłopcy ze szkoły pełnią nawet specjalne dyżury.

– Często są problemy z ich zdrowiem. Teraz leczę w piwnicy połoza kaspijskiego, który potłukł się o szybę terrarium zbyt spontanicznie reagując na ożywiony ruch w klasie. Kiedyś „Maciek" miał kłopoty z sercem (może z powodu „Kaśki"?). Podczas ubiegłorocznych wakacji, gdy wygrzewał się na słońcu w ogrodowym alpinarium przed domem, nagle zasłabł. Przybiegłem z żoną i rozpoczęliśmy typową reanimację – sztuczne oddychanie i masaż serca. To brzmi wesoło, ale wtedy nie było nam do śmiechu. Ten wypadek przeszedł bez większych kłopotów – proszę popatrzeć, z jakim apetytem „Maciek" zajada kawał mięsa.

– Każdorazowo na spotkaniach koła herpetologicznego Polskiego Towarzystwa Zoologicznego w Krakowie, którego jestem członkiem, opowiadam o niezwykłych mieszkańcach małej beskidzkiej wioski, naszego Świniarska. Koledzy wypytują, co u mnie nowego, wymieniamy uwagi, spostrzeżenia. Mam swoje plany. Chciałbym wzbogacić zbiory o nowe okazy, może będzie w mojej hodowli potomstwo.

– Różnie ludzie mogą sądzić, ale nikt nie zaprzeczy, że lekcja w naszej pracowni jest bardzo urozmaicona, ułatwia prowadzenie zajęć, zachęca do nauki, poznawania, budzi dociekliwość – przymioty tak współcześnie pożądane.

Czy chciałbym pracować w laboratorium, w instytucie herpetologii, ogrodzie zoologicznym? Chyba tak, chociaż... Lubię te lekcje biologii prowadzone w ciasnej klasie. Tu uczę poszanowania, zrozumienia i zainteresowania przyrodą, żeby ludzie nie rzucali kamieniami w każdego napotkanego „gada". I chyba mi się to udaje. Coraz mniej u nas połamanych drzew, zdeptanych kwiatów, wystraszonych zwierząt. Niektórzy moi uczniowie zakładają małe, domowe terraria...

DARIUSZ KONIEC
Fot. **M. Żbikowski**

NIE MA SPRAWY

Jak rok temu, w szóstej klasie, dziewczyny postanowiły odizolować się już na dobre od chłopaków – „bo z tymi chłopakami za nic do ładu dojść nie można było!" – żadna nie miała wątpliwości, że zastępową nowo powstałego zastępu powinna zostać Teresa. To znaczy, nie całkiem tak, że decyzja w tej sprawie była absolutnie jednogłośna, jedna osoba dość mocno wahała się – właśnie Teresa. Ale zakrzyczały ją. Że jest głupia, bo skoro wszystkie uważają, że się nadaje, to niby dlaczego ona uważa, że tak nie jest. No i przekonały ją. Bo kto by się oparł?! W końcu to zaszczyt zostać zastępową – i sznur inny, i rządzić można, i w radach drużyny człowiek uczestniczy. Więc Teresa zastępową została.

Pierwsza zbiórka udała się na medal. Najpierw bawiły się w chowanego, potem lepiły z plasteliny różne zwierzaki i wspólnie wybrały rzeźbę najbardziej podobną do oryginału. Zwyciężyła Anka, która ulepiła kota zupełnie jak żywego. Na drugiej zbiórce bawiły się w berka, a potem rysowały. Ludzi. I tym razem zwyciężyła Anka, której rysunek najbardziej przypominał człowieka. Na trzeciej zbiórce Teresa zaproponowała grę w dwa ognie, ale do gry nie doszło. Dzisiaj już żadna nie pamięta dlaczego, ale coś tam jednak było takiego, że nie mogły się zgodzić. A czwartej zbiórki w ogóle nie było, bo Teresa zachorowała na anginę. Co prawda niby powstał pomysł, żeby któraś ją zastąpiła, ale żadna nie chciała. Akurat wtedy rada szczepu wizytowała zbiórki poszczególnych zastępów i „Mysikróliki" – bo tak się nazwały – zarobiły minus. Zaraz jednak potem był maj i udało im się zrehabilitować w czasie Alertu, więc w gruncie rzeczy ten minus został puszczony w niepamięć. Jedna Teresa pamiętała o nim bardzo długo. Na dobrą sprawę, to pamięta o nim do dzisiaj ma o niego żal do koleżanek.

Potem był obóz szczepu, na który z zastępu „Mysikrólików" pojechały: Anka, Bożena, Jagoda, Urszula i Monika. Czyli – wszystkie, wszystkie oprócz Teresy, której lekarz zabronił mieszkania pod namiotem ze względu na tę przebytą anginę, Na nic się zdały wszystkie prośby i błagania Teresy, rodzice byli zdania, że jak lekarz mówi: „nie", to znaczy – nie! Nie ma odwołania. Zamiast na obozie na Mazurach wylądowała w sanatorium w Ciechocinku. Miała dużo czasu, więc zastanawiała się nad tym, co będzie robił zastęp w czasie nowego roku szkolnego, planowała zbiórki, gry, kominki.

Na obozie funkcję zastępowej „Mysikrólików" pełniła Anka. Tymczasowo, pod nieobecność Teresy. Gdy w sierpniu spotkały się znowu w szkole, Anka z całą ceremonią przekazała brązowy sznur Teresie. I z westchnieniem ulgi: „Uff! Przekazuję ci z powrotem to berło władzy! Rządź! Ja mam serdecznie dosyć!"

W czasie Harcerskiego Startu 77 „Mysikróliki" wysunęły się na czoło wszystkich zastępów w szczepie. To zasługa Teresy, wszystkie podkreślają. Energii miała za trzy zastępowe, a pomysłów wystarczyłoby na siedem zastępów. Nawet... dosyć ich miały, bo każdy pomysł równał się pewnej ilości pracy więc gdy skończył się Harcerski Start oznajmiły Teresie, że teraz to chcą odpocząć i co najmniej przez miesiąc zbiórki zastępu powinny być bardziej relaksowe. Słuchanie płyt, chodzenie do kina, na wspólne spacery... A tu zaczął się Turniej Wiedzy. Drużynowa żąda podania zadań wybranych przez zastęp, Teresa namawia zastęp, żeby zdecydował się, jakie zadania chce realizować, a zastęp mówi – zadania potem, teraz relaks. W głupiej sytuacji znalazła się Teresa – drużynowej narazić się nie chciała, zastępowi też nie. Wybrała metodę w jej przekonaniu najwłaściwszą – sama wybrała zadania, zgłosiła je na radzie drużyny. I wszystko było w porządku. Drużynowa – bo „Mysikróliki" wybrały sobie ambitne zadania, zastęp – bo Teresa nie zawracała im głowy jakimś tam Turniejem Wiedzy. Chodziły sobie do kina, słuchały płyt, zaczęły dziergać szydełkiem identyczne chusteczki dla całej szóstki. Panowała idealna zgoda i zrozumienie. Przez pewien czas. Do momentu, gdy na tablicy zgłoszeń szczepu wywieszone zostały zadania, jakie realizują poszczególne zastępy.

Pierwsza zobaczyła tę tablicę Monika. I strasznie się oburzyła. Że niby dlaczego ona ma realizować takie zadania a nie inne?! Ona by wolała właśnie inne, te się jej nie podobają, ma je w nosie i już, nic ją nie obchodzą. Anka z kolei powiedziała, że zadania, to nawet jej się podobają, sama by takie wybierała, ale nie jest w porządku, że Teresa zrobiła to poza plecami zastępu. I z grubej rury wypaliła. Że one Teresie zaufały, a ona ich zaufanie zawiodła. Teresa była na tej zbiórce czerwona jak burak, ani słowa nie powiedziała, ale było jej żal. „Bo to było niesprawiedliwie – mówi – one nie chciały zadań wybierać, zrobiłam to za nie, a zamiast być wdzięczne, miały pretensję".

W efekcie jakoś przez Turniej Wiedzy przebrnęły. Bez sukcesów specjalnych, ale i bez jakiejś szczególnej kompromitacji. W końcowej klasyfikacji zajęły miejsce gdzieś pośrodku szkolnej tabeli punktacyjnej. Powodu do chwały specjalnego nie było, a jeszcze na dodatek drużynowa powiedziała, że zawiodła się na „Mysikrólikach", bo liczyła, że będą lepsze. Powiedziała to na zbiórce rady szczepu, gdzie ze wszystkich „Mysikrólików" była tylko Teresa, Teresa, która nie powtórzyła tej opinii zastępowi. Bo nie chciała go martwić.

Na ferie zimowe zaplanowała całą furę różnych zajęć. I zawody saneczkowe, i turniej łyżwiarski, i całodzienną wycieczkę za miasto... Nie wyszło nic, bo cztery dziewczyny z zastępu wyjechały z rodzicami, więc trudno, żeby tylko we dwie ścigały się na saneczkach. Ferie spędziła Teresa, podobnie jak i wakacje, na snuciu planów na przyszłość. Wymyśliła naukę języka esperanto, zdobyła nawet trzy egzemplarze samouczka – jeden na dwie osoby. Tym razem pewna była absolutnego sukcesu. Tego nie robił żaden zastęp w ich szczepie! Nie zaczął również uczyć się języka esperanto jej zastęp. Zwyczajnie – nie chciały. „Coś ty, Teresa – powiedziały – na głowę upadłaś?! Mało to mamy różnej nauki, żeby jeszcze za jakieś esperanto się brać?! I po co niby?!" Więc okropnie się wtedy zdenerwowała i nawymyślała im, ile wlezie. Od idiotek, od kretynek, od leni. „Poniosło mnie – mówi – ale naprawdę się wtedy zdenerwowałam!"

W tym zdenerwowaniu powiedziała jeszcze, że ona wcale nie prosiła się być zastępową, to one chciały, a jak chciały, to teraz muszą się jej słuchać. A na to Anka, że wcale nie muszą. Bo jak ona nie chce być zastępową, to też nie musi. I tak jakoś trzask-prask, bardzo szybko, dokonały wyboru nowej zastępowej. Została nią Anka. Bo już ma doświadczenie, była zastępową na obozie. Teresa dzielnie się na tej zbiórce trzymała. Przekazała Ance sznur w brązowym kolorze, życzyła jej powodzenia, ucałowała ją nawet. Dopiero w domu rozryczała się. Nawet zastanawiała się, czy nie wypisać się w ogóle z harcerstwa, ale doszła do wniosku, że lepiej nie, że nie honor byłby, bo pomyślą sobie, że się obraziła.

Tak naprawdę, to rzeczywiście jest obrażona, ale uważa, że lepiej nie dać tego po sobie poznać. Niech sobie nie myślą, że jej zależy. Nie chciały, żeby była zastępową, to nie – nie ma sprawy!

Dziewczyny miały przez kilka dni wyrzuty sumienia. Największe Anka. Anka uważa, że wyszło tak, jakby to ona wygryzła Teresę z funkcji. Wcale nie chciała. Cała reszta uważa, że Teresa zupełnie słusznie im nawymyślała, bo wcale nie zawsze zachowywały się fair. Z tym Turniejem Wiedzy, na przykład, Monika zupełnie niepotrzebnie zrobiła awanturę, a to esperanto to wcale nie był głupi pomysł. Nawet miałyby ochotę zacząć się go uczyć, ale nie zaczną, niech Teresa nie myśli, że im zależy. A w ogóle, to Teresa się zachowuje, jakby nic się nie stało, widać wcale jej ta cała historia nie obeszła. A skoro ją nie obchodzi, to niby czemu one mają się przejmować. Prościej nie zauważać, że coś się stało. Więc nie zauważają. Nie ma sprawy!

EWA KŁOSIEWICZ

W OGNIU HARTOWANI

Bezszelestnie otwiera się długa, wąska komora. W snopach iskier, w jaskrawych płomieniach, sypie się z niej kilkanaście ton koksu. Jesteśmy w Zdzieszowicach (woj. opolskie), w koksowni zaliczanej do największych na naszym kontynencie. Codziennie przerabia się tutaj 18 tys. ton węgla, czyli tyle, ile można pomieścić w 800 wagonach kolejowych. Koks produkowany w Zdzieszowicach odznacza się najwyższą jakością, dzięki temu można stosować go do wytopu rudy w wielkim piecu Huty „Katowice". (kp)

Fotoreportaż: MARKA SZYMAŃSKIEGO

GWIAZDOZBIÓR

O telewizyjnych „Nocach i dniach” z JERZYM BIŃCZYCKIM

– Rola Niechcica w telewizyjnych i filmowych „Nocach i dniach” stanowi zaledwie cząstkę Pana dorobku aktorskiego. Przypomnijmy krótko: w ciągu 17 lat pracy na scenie zagrał Pan blisko 70 ról teatralnych, około 20 telewizyjnych, kilkanaście filmowych. Od 13 lat występuje Pan w jednym z najlepszych polskich teatrów – Starym Teatrze w Krakowie. Współpracował Pan z reżyserami tej miary co Swinarski, Kutz, Jarocki, Hübner, Wajda. A jednak propozycję objęcia roli Niechcica przywitał Pan słowami: „Na taką rolę aktor taki jak ja czeka latami”. Dlaczego?

– Jestem aktorem teatralnym. Propozycja Jerzego Antczaka stwarzała okazję sprawdzenia się w innym gatunku. Poza tym, pasjonującym zadaniem wydało mi się przełożenie na język filmu literackiego bohatera Marii Dąbrowskiej. Wreszcie, aktor grający główną rolę ma, z reguły, możliwość dyskutowania jej koncepcji, kształtu – inaczej mówiąc, otrzymuje szansę nie tylko odtwarzania, ale i kreowania postaci.

– Wygrał Pan tę szansę. W odczuciu telewidzów nazwiska Niechcic i Bińczycki oznaczają to samo. Utożsamienie aktora i postaci, którą odtwarza, to niebezpieczny, ale też najpewniejszy miernik sukcesu aktorskiego w serialu telewizyjnym.

– Miałem ułatwione zadanie. Pochodzę ze wsi, z Witkowic pod Krakowem i wydaje mi się, że potrafię zrozumieć największą pasję w życiu Bogumiła: przywiązanie do ziemi. Więcej, Niechcicowa filozofia życia jest, po części, i moją filozofią. Chciałbym, jak on, gdy przyjdzie czas obejrzeć się za siebie i móc powiedzieć: udało mi się przeżyć swoje lata uczciwie.

– Bardzo to piękna filozofia, tylko czy nie nazbyt prosta. I czy rzeczywiście Bogumił jest – jak to sugeruje serial – bohaterem bez skazy? Karol Irzykowski pisał o nim: filister i tępy hreczkosiej. Uzupełnijmy listę zarzutów. Bogumił, w którym Barbara chciałaby widzieć żywy pomnik pięknych polskich tradycji niepodległościowych, w istocie jest byłym powstańcem rzuconym na manowce historii, kimś, kto uprawia swoją małą działkę bez podstaw i sensu, pokrzykując spomiędzy bruzd: „Ja tu robię historię!”.

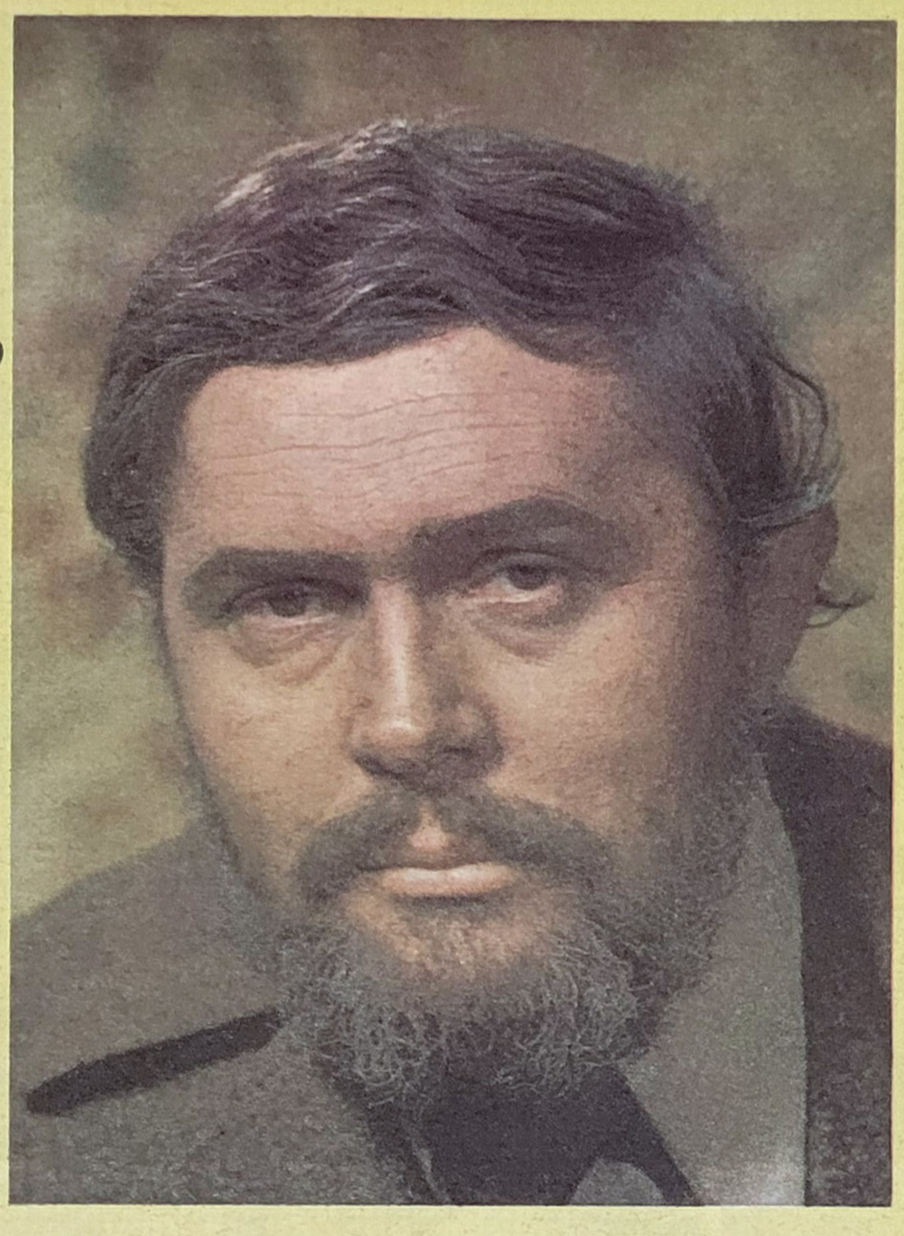

– Mój Boże, przecież ten człowiek jako szesnastoletni chłopiec poszedł do powstania, potem za kogoś innego oddał się do poboru, wreszcie zajął się rolnictwem – robotą mozolną, ciężką, niewdzięczną, ale twórczą. Całe właściwie życie Niechcica polegało na spełnianiu obowiązków obywatelskich. Stawał w potrzebie zawsze tam, gdzie był najbardziej przydatny. Są okresy historyczne, kiedy hasło o tworzeniu historii należy rozumieć właściwie tak, jak je rozumiał Bogumił – zarządca Serbinowa. W przeciwnym wypadku nie pozostaje nic, tylko bezpłodne dywagacje polityczne.

– Bogumił nie czyta książek, nie prenumeruje gazet, nie interesuje się współczesnymi prądami filozoficznymi. Jego horyzonty umysłowe wyznaczają serbinowskie miedze.

– Bo robi to, co umie robić najlepiej, bez pretensji bycia inteligentem. Przyjął, że warte wysiłku jest to, co przynosi materialne, wymierne korzyści. W ostatecznym jednak rachunku należałoby zaznaczyć, co bardziej opłaciło się narodowi: dobrze utrzymany Serbinów, czy zielnik okolic Kalińca – „dzieło życia” przymusowego inteligenta – Ostrzeńskiego.

– Życiu osobistemu Bogumiła też daleko do doskonałości. Niechcicowie tworzą stadło, w którym on pełni rolę wiecznie zapracowanego pana domu, ona jest nieprzystosowaną do męża i otoczenia histeryczką, a ich metody wychowawcze w stosunku do syna polegają na tym, by – na przemian – rozpieszczać lub, gdy niegrzeczny, brać kij i lać.

– Tomaszek dostaje w skórę nie wtedy, gdy się nie uczy, czy gdy pije z chłopami. Bogumił bije go wówczas, gdy chłopak zaczyna oszukiwać i kraść. I trudno mu się dziwić, wziąwszy pod uwagę, że jego naczelną zasadą życiową było „przeżyć swoje lata uczciwie”.

A małżeństwo Niechcicòw... „Noce i dnie” zostały napisane tak, żeby zademonstrować całą złożoność ludzkich uczuć, zbliżyć przeżycia książkowych bohaterów do powszechnie spotykanych realiów. Przecież, gdyby Dąbrowska uczyniła ze swoich bohaterów wzorowe małżeństwo, które w dzień ciężko pracuje, w nocy przykładnie się kocha, a w niedzielę wyprowadza na spacer trójkę udanych dzieci, to serial należałoby zakończyć po pierwszym odcinku.

– Poświęcił Pan Niechcicowi trzy lata pracy. Co ta rola Panu przyniosła?

– Miłą świadomość, że Bogumił taki jakiego pokazałem, wzbudził sympatię i niepokój, że mogę być z nim zbyt dosłownie utożsamiony. Lubię tę postać, ale przecież Niechcicem nie jestem.

MACIEJ IWANOWSKI
(Interpress)
Fot. **Romuald Pieńkowski**

DOM MODY świata młodych

NAJPROSTSZA Z PROSTYCH

Dzisiaj będzie o letnich sukienkach, a właściwie – o jednym ich rodzaju (fasonie), o takiej sukience najprostszej z prostych. Takiej, którą każda dziewczyna – nawet w ręku, bez użycia maszyny – jest sobie w stanie przez jedno popołudnie uszyć. A dodatkowo chciałam dodać, że chociaż wdziękiem specjalnym taka sukienka się nie wyróżnia (powiedziałabym, że raczej jest... bezkształtna), to w sumie jest zabawna. A co zabawne, to bardzo modne. Co bezkształtne – też. Więc pomyślałam sobie, że sytuację taką warto wykorzystać, że niektóre z Was wykorzystać ją będą może chciały.

Na taką najprostszą z prostych sukienkę potrzeba 2.20 metra materiału o szerokości 90 cm. Może troszkę mniej, może troszkę więcej – zależy od wysokości dziewczyny i od tego, jak długą sukienkę mieć by chciała. Połowa długości materiału, to całkowita długość sukienki – od ramienia aż do samego dołu, minus kilka centymetrów, które trzeba odliczyć na zakład. Wspomniane 2.20 metra materiału, to ilość wystarczająca na sukienkę zakrywającą kolana dla dziewczyny o wzroście ok. 1.60 metra. Ponieważ takie sukienki szyjemy z materiałów najtańszych (kretony, płócienka), warto go kupić trochę więcej, aby wystarczyło i na pasek do przewiązania w talii, i ewentualnie na chustkę na głowę (na trójkątną chustkę potrzeba 45 cm materiału o szerokości 90 cm).

Odciąwszy od całego kuponu to, co na chustkę i to, co na pasek, resztę, czyli to, co jest potrzebne na sukienkę (2 razy jej długość plus ok. 10 cm na zakład) składamy na pół (na rysunku wskazana jest strzałką linia złożenia) i wycinamy: rękawy (tak jak na liniach przerywanych, z tym, że mogą być one węższe lub szersze, wtedy – tniemy wyżej lub niżej) oraz dziurę na głowę. Ta dziura na głowę powinna być większa w miejscu, gdzie planujemy przód sukienki i mniejsza ze strony tylniej. Przy wycinaniu dziury na głowę trzeba uważać, żeby nie była ona zbyt wielka. Wycięty otwór powiększa się jeszcze, gdy go podszyjemy. Z tym, że gdy komuś wytnie się zbyt obfity, też nie ma nieszczęścia – ponieważ sukienka ta jest z natury bardzo luźna, można go później lekko przymarszczyć. Obszycia dziury na głowę dokonujemy jednak dopiero po zeszyciu dwóch boków sukienki. Na końcu wyrównuje się dół (na bokach może być dłuższa, więc trzeba będzie same boki lekko podciąć), podszywa go i – sukienka gotowa. Szyjąc ją nawet w ręku, to dla osoby średnio biegłej we władaniu igłą, maksimum 3–4 godziny roboty. Gdy ktoś się zmęczy, pasek i chustkę można zostawić na drugi dzień.

Tak jak ja to zrobiłam. Sukienka moja jest już gotowa, a jutro zabieram się za chustkę. Ciekawe, kto pójdzie w moje ślady?!

RIUSZKA

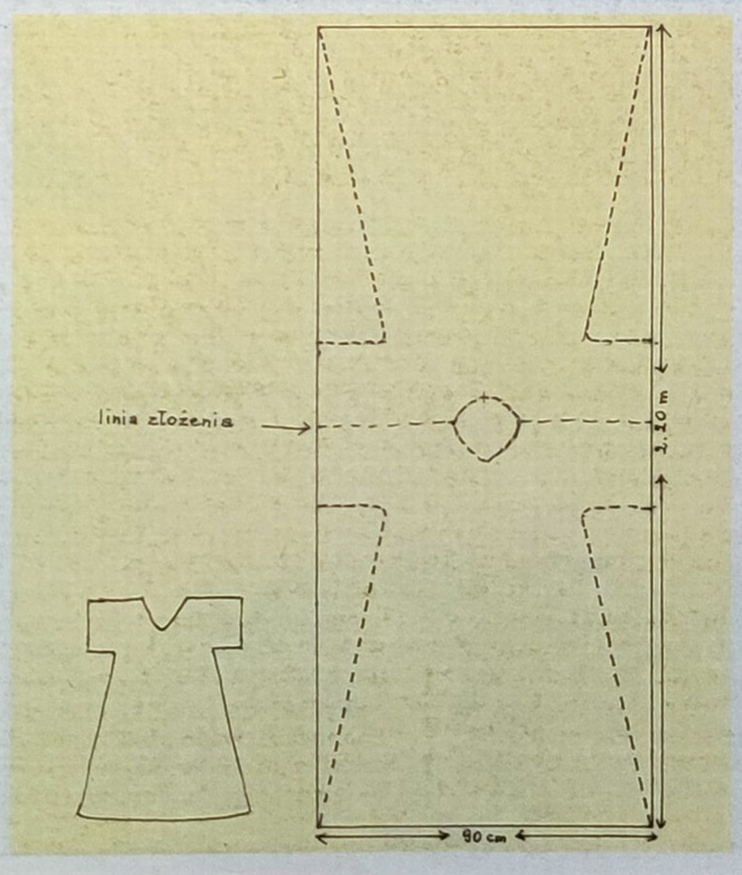

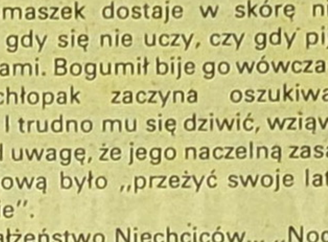

TURNIEJ WARCABOWY o Puchar „Świata Młodych” i Głównej Kwatery ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 31. Białe zaczynają i w siódmym posunięciu wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie – 3 punkty.

Zadanie 32. Białe zaczynają i wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.

Rozwiązania należy przesłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród uczestników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

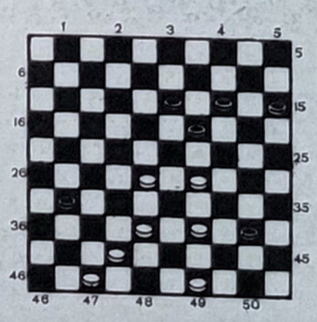

Zadanie 31

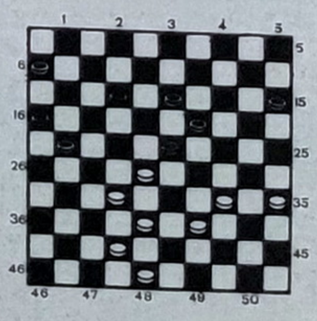

Zadanie 32

CHCESZ ZDOBYĆ
DOBRZE PŁATNY ZAWÓD
I BUDOWAĆ
HUTĘ KATOWICE
ZGŁOŚ SIĘ DO ZESPOŁU
SZKÓŁ BUDOWLANYCH
GENERALNEGO WYKONAWCY
BUDOWY HUTY KATOWICE
ZESPÓŁ SZKÓŁ BUDOWLANYCH
PRZEDSIĘBIORSTWA
BUDOWNICTWA
PRZEMYSŁOWEGO
„BUDOSTAL–4"
W DĄBROWIE GÓRNICZEJ,
ulica: PIASKI, nr kodu 41-303, nr telefonu 62-50-71 do 79 wewn. 322 lub 247

ogłasza zapisy
kandydatów

do klas I-szych Zasadniczej Szkoły Budowlanej dla Pracujących na rok szkolny 1978/79 w następujących zawodach:

UCZNIOWIE MŁODOCIANI – ukończone 15 lat
3-letni okres nauki:
1) ślusarz-spawacz
2) mechanik-kierowca pojazdów samochodowych
3) mechanik maszyn budowlanych
2-letni okres nauki:
1) cieśla budowlany
2) murarz-tynkarz
3) betoniarz-zbrojarz
4) monter wewnętrznych instalacji budowlanych

UCZNIOWIE PEŁNOLETNI (OHP) – ukończone 18 lat
2-letni okres nauki:
1) cieśla budowlany
2) murarz-tynkarz
3) betoniarz-zbrojarz
4) malarz budowlany
5) posadzkarz
6) blacharz-dekarz
7) monter zewnętrznych sieci komunalnych
8) monter konstrukcji żelbetowych
9) monter konstrukcji stalowych
10) mechanik maszyn i urządzeń przemysłowych

Uczniowie młodociani otrzymują: zakwaterowanie w internacie, drugie śniadanie w dniach nauki i pracy oraz podręczniki szkolne.
Młodzież ZSB korzysta z różnych form zorganizowanego wypoczynku jak: wycieczki, obozy szkoleniowo-rekreacyjne, wczasy zakładowe w atrakcyjnych miejscowościach. Ponadto ma możliwość uczestniczenia w sekcjach kulturalno-oświatowych w zależności od zainteresowań np: muzycznej, estradowej oraz sekcjach sportowych.
Podanie o przyjęcie do Zasadniczej Szkoły Budowlanej należy składać pod adresem szkoły:
Do podania należy dołączyć:
1) świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
2) świadectwo lekarskie o zdolności do zawodu
3) metrykę urodzenia do celów meldunkowych w internacie
4) dwie fotografie

Uczniowie 18-letni zgrupowani są w Ochotniczym Hufcu Pracy nr 13–9, gdzie równocześnie mogą odbywać służbę wojskową. Zasady przyjęcia do Hufca przesyłane są odrębnie zainteresowanym. Absolwenci ZSB mogą kontynuować dalszą naukę w systemie wieczorowym w 3-letnim Technikum Budowlanym, wchodzącym w skład Zespołu Szkół Budowlanych P.B.P. „Budostal–4".

DOJAZD DO SZKOŁY:
z centrum Dąbrowy Górniczej tramwajem nr 21 w kierunku Huty „Katowice" – wysiadać przy Przedsiębiorstwie „Transbud–2" lub autobusami WPK nr 86, 27, 18, 55 – wysiadać na przystanku Zajezdni WPK w Gołonogu.

K–118

Uwaga, Krzysztof Cekiera z Wrocławia, nic z góry obiecać nie mogę. Temat Atlantydy jest, oczywiście, interesujący, chociaż odstrasza jego objętość. Przesyłając go do TOMIKA nic nie ryzykujesz – po przeczytaniu materiału zdecydujemy, co robić – czy drukować w odcinkach, czy jednorazowo, po skrótach. Przy okazji proszę cię o wyjaśnienie, który adres jest aktualny: wrocławski, czy krakowski?

Mariusz Misiorowski pisze dziś o możliwości porozumienia się z ewentualnymi mieszkańcami kosmosu za pomocą telepatii. Powiada on, że kiedyś człowiek posiadał zdolności postrzegania pozazmysłowego, które w miarę rozwoju cywilizacji utracił, że zdolności te posiadają dziś tylko nieliczne jednostki. Jednakże drogą intensywnego treningu – pisze dalej – można je wykształcić na tyle, aby można się było telepatią posłużyć w kontaktach z kosmitami. Hipoteza bardzo ciekawa, tylko że oparta na nikłych przesłankach. Nie jest bowiem pewne czy uda się nam tę atawistyczną zdolność rozwinąć , czy przypadkiem nie jest to proces nieodwracalny? Ponadto dopóki telepatia jest dla nas „czarną magią", trudno mówić o wykorzystaniu jej w łączności. Prowadzone dotychczas eksperymenty na Ziemi dały nikłe rezultaty. Niemniej, sprawa jest ciekawa i zachęcam do przeczytania opracowania Mariusza.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

A MOŻE ZA POMOCĄ TELEPATII?

Pragnę także wziąć udział w dyskusji na temat przeprowadzania łączności z innymi cywilizacjami.

Astronomowie i astrofizycy amerykańscy, zebrani na sympozjum w Green Bank w roku 1962, doszli do wniosku, że tylko w naszej Galaktyce znajduje się przypuszczalnie ponad 50 milionów wysoko cywilizowanych światów. Około półtora roku później przypuszczenie to zostało potwierdzone przez astronomów na sympozjum w Erewaniu. S. von Hoerner z Narodowego Obserwatorium Radioastronomicznego w Green Bank na XXIII Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym w Wiedniu, w październiku 1972 r. ograniczył – liczbę cywilizacji do około 10 tysięcy, przy czym najbliższe z nich powinny się znajdować w odległości nie większej od Ziemi niż około 800 lat świetlnych. A na pierwszej międzynarodowej konferencji na temat łączności z pozaziemską inteligencją CETI (Communication with Extraterrestial Intelligence), która odbyła się we wrześniu 1971 roku w Obserwatorium Astrofizycznym Armeńskiej Akademii Nauk w Biurakanie uznano, że: „Wielkie odkrycia dokonane w ciągu ostatnich lat w dziedzinach astronomii, biologii,maszyn matematycznych i radiofizyki spowodowały, iż pewne problemy pozaziemskich cywilizacji i ich wykrywanie przestały być czystą spekulacją, a stały się podstawą do wykonywania poważnych doświadczeń i obserwacji" (cyt. za O. Wołczkiem, z posłowia do „Wspomnień z przyszłości" Dänikena, Warszawa 1974).

Zajęcie się przez tak poważne gremium problemem CETI nie jest wcale tak bardzo zaskakujące. Weźmy bowiem pod uwagę choćby tylko następujący rachunek (według F. Boschkego):

● Nasza Galaktyka, którą nazywamy czasami Drogą Mleczną, zawiera (ostrożnie szacując) ponad 100 miliardów gwiazd, czyli słońc, przeciętnie podobnych do naszego. Można przyjąć, że w całym wszechświecie znajduje się ponad 100 miliardów galaktyk podobnych do naszej. Jeżeli zgodzimy się na te wielkości, oznacza to, iż w całym wszechświecie istnieje niewyobrażalna wprost liczba 10^{21} gwiazd słońc.

● Jednakże niektóre inne galaktyki nie są tak duże jak nasza. Pomniejszmy więc podaną wyżej liczbę gwiazd o współczynnik 100.

● Z pozostałych 10^{19} słońc niechby też tylko co setne miało system planetarny. Będzie wtedy we wszechświecie jeszcze 10^{17} systemów planetarnych.

● Jeżeli teraz przyznamy co setnemu z tych systemów jedną tylko planetę, która wielkością i innymi właściwościami odpowiadałaby naszej Ziemi, to wtedy we wszechświecie znajdować się powinno 10^{15} „Ziem".

● Wiele spośród tych planet musi przechodzić bardzo długi okres „przygotowawczy", do czasu aż pojawią się na niej wysoko zorganizowane żywe istoty. Nasza Ziemia przygotowywała się przecież do tego momentu ponad dwa miliardy lat. Zakładam, że w kosmosie powinno istnieć życie podobne do tego, które my znamy, że mogą tam istnieć inteligentne istoty.

A jeśli tak, to czy niemożliwe jest nawiązanie z nimi łączności?

Kolega Marek Łasicki proponuje jako jedyne rozwiązanie przyjąć kontakt za pomocą fal radiowych. Tymczasem odkryto inne, zupełnie nieznane środki łączności. Słynny uczony radziecki polskiego pochodzenia, Konstanty Ciołkowski, prekursor radzieckiej astronautyki, na krótko przed swoją śmiercią (zmarł w 1935 roku) rozpoczął prace nad możliwoścla zastosowania przekazów telepatycznych dla przyszłych lotów kosmicznych. Dla Ciołkowskiego telepatia była realną rzeczywistością, której rozpracowanie uważał za niezbędne dla dalszego rozwoju ludzkości. Ciołkowski wierzył, że dopiero po rozwiązaniu problemów lotów kosmicznych oraz problemów wchodzących w zakres parapsychologii staniemy się ludźmi w pełni rozkwitu. Prawdopodobnie niektóre ludy pierwotne posiadają zdolności telepatyczne jeszcze dzisiaj. Telepatia jako środek przenoszenia informacji jest swego rodzaju błyskawicznym „telegrafem bez drutu", podczas gdy człowiek cywilizacji technicznej musi zadowalać się powolnymi stosunkowo telefonami, telegrafem, radiem.

„Planeta fosforyzujących drzew" – tak nazwał swój obraz radziecki artysta-fantasta, G. Kurnin. Drzewa zamiast liści posiadają spiralnie zwinięte „gałęzie", a ponadto świecą własnym światłem. Na tej nieznanej planecie występują ponadto gorące burze, silne huragany i... Właściwie można by dalej wyliczać różne niezwykłości, bo i tak jest to tylko fantazja

Wiele dowodów wskazuje na to, że człowiek posiadał kiedyś zdolności postrzegania pozazmysłowego, które jednak, prawdopodobnie na skutek technicyzacji życia i wpływu otoczenia, uległy degeneracji. Ale od czasu do czasu występują one w pojedynczych przypadkach świadczących o ich atawistycznym pochodzeniu. Do tej pory nie wiadomo, czym właśnie jest telepatia. Wszystko, co się o niej wie to to, że istnieje. Przeważnie przypuszcza się, że promieniowanie telepatyczne rozchodzi się na dotychczas nie znanych rodzajach fal i że zdolności te drogą intensywnego treningu mogą zostać znacznie wykształcone. Perspektywy, jakie otwiera przed nami zastosowanie telepatii, są wprost nieograniczone. Dają one między innymi możliwości błyskawicznego porozumienia się zarówno na Ziemi, jak i w przestrzeniach międzygwiezdnych. Skoro jest wysoce prawdopodobne, że pozaziemskie cywilizacje istnieją, można również przypuszczać, iż przynajmniej niektóre doprowadziły do perfekcji m.in. telepatię. Może więc od dawna dochodzą do nas informacje z kosmosu, przesyłane na drodze telepatycznej, których jednak odebrać nie jesteśmy w stanie?

Mariusz Misiorowski
Osiedle 700 l. 6/38
88–140 Gniewkowo
Członek klubu science fiction „LaRoMi"

CO ROBIĆ?

Drogi Panie Prezesie, piszę do Pana, bo nie wiem, co mam robić. 29.VIII.1977 wysłałem do PTMA prośbę o materiały potrzebne do zrobienia zwierciadeł niezbędnych w teleskopie zwierciadlanym, wyniosło mnie to 229 zł. Czekałem miesiąc i odpisano mi, że muszę poczekać na dane materiały do grudnia, gdyż wtedy mieli je dostać. Po dwóch miesiącach, prędzej niż mi pisano, otrzymałem paczkę a w niej zupełnie nie to o co prosiłem. Odesłałem tą mylną przesyłkę zaraz w ten sam dzień z ponowną prośbą o prawidłowe materiały i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. I tak miesiąc po miesiącu pisałem aż dobrnąłem do 24.III.1978 r., w którym to dniu napisałem chyba szóstą prośbę do PTMA. Teraz zwracam się do Pana z prośbą o radę co mam w tym przypadku robić, bo dalsze moje pisanie do PTMA jest chyba bezsensowne.

Marek Szeląg
ul. Świerczewskiego 19
44-120 Pyskowice

OD REDAKCJI: Zamieszczamy ten list z nadzieją, że jednak ktoś z PTMA przeczyta go i sprawę Twoją wyjaśni.

Astronomią ogólną interesują się: **KRZYSZTOF ROCHOWICZ** (13 l), Al. Kaliningradzka 61/81, 10–437 Olsztyn; **GRAŻYNA URBAŃSKA** (16 l), ul. Mickiewicza 20, 41–807 Zabrze; **SYLWESTER WALCZAK**, ul. Podrzeczna 43/6, 99–400 Łowicz. Astronomią i fantastyką: **PIOTR KRZYWIEC** (12 l), os. J. Strusia 10/21, 31–808 Kraków. Astronomią, kosmologią, kontaktami z pozaziemskimi cywilizacjami: **WIOLETTA**

KĄCIK KORESPONDENTÓW TOMIKA

IWOSA (13 l), ul. Siemiradzkiego 23/21, 37–700 Przemyśl; **MIROSŁAWA KUCHAREWICZ** (13 l), ul. Czarneckiego 40/5, 53–651 Wrocław. Astronomią, **NOL**, fizyką, matematyką i teorią względności: **MARZENA GAJ** (15 l), ul. 1 Maja 55, 46–034 Pokój.

Przypominam, że przesyłając swoje nazwisko do kącika należy koniecznie podawać wiek, oraz krótko sprecyzowane zainteresowania.

Raptem przywiał bardzo silny szkwał. Sternik na „Lordzie Jimie" chyba go nie zauważył, bo nagle główny żagiel wraz z ciężkim bomem przeleciał mu nad głową, jacht przechylił się gwałtownie na lewą burtę, ale ponieważ – jak wspomniałem – był kilowo-mieczowy, zaraz wyprostował się jak „Wańka-wstańka". Ale Tarzan zerwał się ze swego miejsca, gwałtownie odsunął od steru żeglarza w białym stroju i sam skierował „Lorda Jima" ku południowemu brzegowi, po którym biegła linia kolejowa z Olsztyna do Iławy.

Jezioro Drwęckie jest w tym miejscu dość wąskie, „Lord Jim" natychmiast zbliżył się do lądu i nagle gwałtownie stanął, jakby jakaś podwodna siła zatrzymała go w miejscu. Jacht miał kil, który wpadł na płyciznę przybrzeżną. Trzymany od dołu, a pchany przez wiatr od góry, łagodnie przechylił się na lewą burtę. Dziewczyna w białej sukience wpadła do jeziora, podobnie mężczyzna w żeglarskim stroju. Na szczęście w tym miejscu było już płytko i obydwoje, ociekając wodą, wyszli zaraz na brzeg, a za nimi wyskoczył i Tarzan. „Lord Jim", pochylony na lewą burtę pozostał na mieliźnie.

Nic się złego nie stało, nikomu nie groziło niebezpieczeństwo. „Będą mieli tylko kłopoty ze ściągnięciem z mielizny wielkiego jachtu" – pomyślałem, przepływając spokojnie mimo nich. Ale przez ciekawość przyglądałem się, co będą robić dalej, tym bardziej, że z niewielkiej odległości w jakiej się teraz znajdowałem, stwierdziłem, że dziewczyna w ociekającej wodą białej sukience jest prześliczna i niezwykle zgrabna.

Wiatr przyniósł głosy z brzegu. Mężczyzna w stroju żeglarskim wymyślał coś po angielsku Tarzanowi, który bezradnie rozkładał ręce, jakby tłumacząc, że to nie z jego winy jacht wpadł na mieliznę.

Tymczasem zza krzaków porastających brzeg, wyjechał wartburg i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Podeszli do ociekającej wodą dziewczyny i chwilę z nią rozmawiali, a potem jeden z nich wziął ją za rękę. Dziewczyna wyrwała mu swoją dłoń i pobiegła do mężczyzny w białym stroju, jakby prosząc go o pomoc. Wtedy on jednym uderzeniem pięści rozciągnął Tarzana na brzegu, a potem rzucił się na tych, którzy nagabywali dziewczynę.

– Help! Help! – usłyszałem po angielsku jego wołanie o pomoc.

Zrobiłem błyskawicznie zwrot przez rufę i skierowałem się ku brzegowi. Potem skoczyłem do kabiny i podniosłem miecz, aby móc jak najbliżej podejść do lądu. Gdy wyszedłem z kabiny, mężczyzna w białym stroju walczył z dwoma osobnikami, a Tarzan oszołomiony uderzeniem podnosił się z ziemi i spieszył im na pomoc.

Ale ów Anglik – bo był chyba Anglikiem, skoro po angielsku wołał o pomoc – świetnie umiał walczyć. Co chwila to jeden to drugi, a potem i Tarzan, leżeli na ziemi, przewracani zręcznymi chwytami dżudo, jakie wobec nich stosował. Turlali się po trawie i po nadbrzeżnym piasku, ale było ich trzech, a on jeden. Dziewczyna w przemoczonej sukience tylko piszczała przeraźliwie.

Usłyszałem szmer piasku pod dnem „Krasuli". Pozostawiłem żagle w łopocie, schowałem okulary do skrytki nad koją w kokpicie i z pokładu dziobowego skoczyłem na brzeg. W kilku potężnych susach dopadłem kłębiących się na ziemi mężczyzn, niespodziewanie chwyciłem Tarzana za kark i przewróciłem go na ziemię. Potem zwaliłem się na osobnika, który przygniatał Anglika. Zaskoczony atakiem z tyłu puścił swoją ofiarę, a wtedy Anglik wysunął się spod niego i ciosem w szczękę odrzucił od siebie jednego z osobników.

Tarzan zrezygnował z walki. Usiadł na ziemi, obmacując swoją szczękę i obolały kark. A ci dwaj, co przyjechali samochodem – raptem dokonali odwrotu, wskoczyli do samochodu i odjechali. Ja i Anglik pozostaliśmy na placu, a z nami dziewczyna w przemoczonej sukience i pojękujący na trawie Tarzan.

– Dziękuję panu – odezwał się Anglik i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Usiłowano porwać Dianę Denver. A ten facet był z nimi w zmowie – wskazał pojękującego na trawie Tarzana.

Mężczyzna w stroju żeglarskim wydał mi się skądś dobrze znany.

– Zdaje mi się, że już gdzieś pana widziałem – odezwałem się po angielsku.

Uśmiechnął się. A potem mrugnąwszy do mnie znacząco, zakreślił sobie nad głową niewielkie kółko.

Cdn

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-25-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne **Tadeusz Baranowski**

Redakcja techniczna **Małgorzata Kula**

Zam. nr 3611/G S-40

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561

OBLĘŻENIE NAGYIDA

TEKST: TIBOR CS. HORVÁTH
RYSUNKI: ATTILA DARGAY
ODCINEK 9

—A kto was wynajął?

Oderwał oczy od spławika i dopiero teraz raczył na mnie spojrzeć. Podejrzliwie zresztą. Ale zobaczywszy „Krasulę" uśmiechnął się pobłażliwie.

– Pan jest tym wariatem, co kupił wrak starego „Szkwała" i dał go do remontu w Ostródzie? Widziałem tę łajbę, jak ją przywieźli do warsztatu. Kupa starego drzewa. Ale nieźle go panu odszykowali – stwierdził.

Nagle roześmiał się.

– Nazwał go pan „Krasula". Słyszałem, że to była kiedyś łajba szkoleniowa, najpowolniejsza na całych Mazurach. Nie lepiej było kupić balię, albo wannę w sklepie „1001 drobiazgów"? Szkoda, że nie mogę pana poholować, byłoby wiele śmiechu. Bo z pana chyba niezły komik. Śmiech to zdrowie, no nie?

– Tak – przyznałem. – Ale nie powiedział mi pan, kto wynajął ten jacht. Może mógłbym się z tym człowiekiem jakoś dogadać?

– To tajemnica. Nie wolno mi udzielać żadnych informacji, a pan coś za dużo pyta – przyjrzał mi się podejrzliwie, ale po chwili znowu uśmiechnął się. – Nie, pan tu nie przyszedł na przeszpiegi. Takiego komika by nie przysłali.

Uraziła mnie ta uwaga, bo to znaczyło, że wraz z moją „Krasulą" nie bierze mnie poważnie.

– Więc co powinienem zrobić, żeby dostać się na Jeziorak? – zapytałem Tarzana. – Nie mam tyle sił i cierpliwości, żeby machać pogajem przez dwadzieścia parę kilometrów.

Tarzan znowu zapatrzył się w swój spławik.

– Najlepiej pan postąpi, jeśli jutro podpłynie pan swoją „Krasulą" do wejścia do kanału. Poczeka pan tam na jakąś motorówkę albo jacht motorowy i poprosi o hol. Tak się robi.

– Dziękuję za radę – ukłoniłem się grzecznie i odpłynąłem, decydując się zacumować łajbę na drugiej przystani, nieco bliżej miasta. Rejs zapowiadał się na dość długi okres, należało mieć w jachcie większe zapasy żywności, przede wszystkim konserw.

Zakupy robiłem aż do późnego wieczora, potem wróciłem na jacht i położyłem się spać. Intrygowało mnie, kto jest zagadkowym armatorem „Lorda Jima", bo wynajęcie takiego jachtu musiało kosztować mnóstwo pieniędzy. Ciekawe było także, dlaczego ów armator otaczał się aż taką tajemnicą. Ale rozwiązywanie tego typu zagadek nie leżało w moich obowiązkach, nie lubiłem też niepotrzebnie wtykać nosa w ludzkie sprawy. Moim zadaniem było jak najszybciej dostać się do Iławy i zaokrętować swoją łajbę.

Gdy obudziłem się o świcie i zerknąłem w stronę pierwszej przystani, stwierdziłem, że „Lorda Jima" już nie ma. Odpłynął chyba jeszcze nocą, zapewne na silniku. I tak zniknął wraz ze swoją tajemnicą.

Około ósmej rano podniosłem główny żagiel na „Krasuli". Fordewindem szybko przeszedłem pod mostem kolejowym i znalazłem się w drugiej części jeziora Drwęckiego. I tu ujrzałem „Lorda Jima" – biała sylwetka jachtu pięknie rysowała się na tle północnego brzegu, porośniętego drzewami. Biały jacht płynął na pełnych żaglach, raz po raz robiono na nim zwroty, jakby sternik czy kapitan po prostu bawił się na wodzie, a nie kierował się do jakiegoś określonego celu. „A może ktoś uczy się na nim żeglować" – pomyślałem i przyłożyłem do oczu lornetkę.

Na dziobie „Lorda Jima" stała – trzymając się topsztagu – wysmukła dziewczyna w białej sukience, z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, które rozwiewał silny wiatr. Przy sterze zobaczyłem nieznanego mi mężczyznę w białym żeglarskim stroju. Tarzan siedział w otwartych drzwiach kabiny i palił papierosa, spoglądając w kierunku południowego brzegu.

Dokończenie na str. 7